

Karl-Dedecius-Preis

Nagroda im.

Karla Dedeciusa

## Podziękowania Eliza Borg

Witam serdecznie wszystkich gości, obecnych tu w tym ważnym dla mnie i Lisy Palmes dniu - a więc przedstawicieli Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, Fundacji R. Boscha, kierownictwo Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie, koleżanki i kolegów - tłumaczy, żałując, że nie wszyscy mogą być tu dziś z nami, oraz wszystkich innych gości, którzy zaszczylili nas swą życzliwą obecnością.

Jestem bardzo szczęśliwa z otrzymania tegorocznej nagrody imienia Karla Dedeciusa, która dla każdego tłumacza literatury niemieckojęzycznej jest wielkim i ważnym wyróżnieniem. Cieszę się, że jej patrona mogłam poznać osobiście, na początku lat 90., gdy wraz z grupą polskich tłumaczy i dziennikarzy zostałam zaproszona do Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich na Mathildenhöhe w Darmstadt. Do dziś mam w pamięci pobyt tam, spotkanie ze współpracownikami Instytutu, zwiedzanie secesyjnych budynków Kolonii Artystów, rozmowy z panem Dedeciusem o jego pracy - czytał nam wtedy swoje tłumaczenia "Ballad i romansów" Mickiewicza i opowiadał o problemach przy tłumaczeniu "Wesela" Wyspiańskiego, a także o swoich oryginalnych pomysłach, by ten arcypolski dramat uczynić zrozumiałym dla czytelników niemieckich. A potem jeszcze literacka podróż na północ Niemiec, do Straelen, do tego prawdziwego domu dla tłumaczy, gdzie i ja miałam okazję mieszkać i pracować. Opiekował się nami podczas tego pobytu niezapomniany Albrecht Lempp.

Niewiele wcześniej ukazał się przekład "Muzeum ziemi ojczystej" Siegfrieda Lenza, wspólne dzieło mojej przyjaciółki i dzisiejszej laudatorki, Marii Przybyłowskiej, i moje. Gdybym dziś miała wymienić książki, które w mojej pracy tłumacza były szczególnie ważne, to ta powieść znalazłaby się na poczesnym miejscu. Przede wszystkim, bo była pierwszym moim tłumaczeniem i dotyczyła tak bliskich mi Mazur, gdzie pomieszkuję już blisko 40 lat. Wspólna praca nad tym tłumaczeniem, przeżycia i emocje, jakie się z nią łączyły, problemy translatorskie, do dziś są żywe w mojej pamięci, podobnie jak moje ówczesne i późniejsze podróże do Ełku - niemieckiego Lyck, rodzinnego miasta autora, które opisał w powieści Lenz, dając mu jednak fikcyjną nazwę, co nadało tej opowieści o utraconej ojczyźnie rys uniwersalności i przypieczętowało w pewnym sensie nieodwracalność tej straty. A choć miasto Łukowiec, jak spolszczyliśmy Lucknow, nie istnieje, to jak najbardziej realne są miejsca, opisane ze wszystkimi szczegółami w powieści. Niełatwo wyjaśnić, dlaczego tak bardzo zależało mi, by odbyć tę "wizję lokalną", bo przecież prawdziwie wielka literatura spokojnie może się bez niej obyć, niemniej musiałam zobaczyć to miasto nad rzeką i jeziorem o tej samej nazwie, zakole rzeki, gdzie autor umieścił dom największej mazurskiej tkaczki kilimów, Sonji Turk, groblę, prowadzącą na wyspę, gdzie do dziś stoi zrujnowany zamek krzyżacki, w czasach opowieści Lenza "najpiękniejsze więzienie Mazur", czy dawny majątek, dzierzawiony przez dziadka bohatera, który dzisiejsi mieszkańcy nadal jeszcze nazywają z niemiecka "domeną". I wszystkie te inne miejsca, które wyobraźnia autora

zaludniła osobliwymi bohaterami, mazurskimi oryginałami, każąc im być świadkami i uczestnikami małej i wielkiej, ostatecznie tragicznej historii.

O powieści Lenza mogłabym nieskończenie, jak polski poeta Tuwim o zieleni ("O zieleni można nieskończenie..."), tak jest bogata w treści i znaczenia, tyle ma w sobie osobliwego, ciepłego humoru, ale i powagi problemów, nie mówiąc już o mistrzostwie stylistycznym. Ale wspomnę jeszcze tylko o trudnościach, jakie miałyśmy przy jej tłumaczeniu - doświadczona już wtedy Maria Przybyłowska i ja, debiutantka. Praca nad nią kosztowała nas chyba trzy lata. Ale była to praca fascynująca - to studiowanie topografii, map polskich i niemieckich, bardzo szczególnie, "mówiony" język, to zmaganie się z dialektem wschodniopruskim - a nie było w tamtym czasie dostępnych słowników gwary mazurskiej, ani przede wszystkim Internetu, gdy wystarczy wstukać słowo w Googlu i rozwiązanie wyskakuje od razu. My szukałyśmy tzw. autochtonów, by dowiedzieć się, co to była Glumse - to biały ser, zwykle z kminkiem - czy Kadik - tak często wymieniany w książce, że musiała to być jakaś pospolita roślina, ale dopiero użyczony przez profesora Huberta Orłowskiego stuletni słownik języka wschodniopruskiego oświecił nas, że to po prostu jałowiec. A ponieważ, jak się okazało, ta nazwa jest używana przez nowych miejscowych do dzisiaj, więc został w tłumaczeniu, jako kadyk. A jeszcze to wymieszanie języka polskiego i niemieckiego względnie wschodniopruskiego i mazurskiego, te wszystkie słowa z pogranicza języków, Pomuchelkopp - pomuchła to dorsz, czy Lachodder - toż to polski łachudra, no i niemiecko-polskie "moi Bosche": bardzo się nabiedziłyśmy, by maksymalnie zachować tę przebogata kolorystykę języka Lenza, z nadzieją, że nie wszystko zginęło w przekładzie, trawestując pesymistyczną formułę Roberta Frosta, zacytowaną przez Małgorzatę Łukasiewicz w jej najnowszych esejach o tłumaczeniu: "Poezją jest to, co ginie w przekładzie."

Na koniec chciałabym jeszcze tylko podzielić się wspomnieniem ze spotkania z Siegfriedem Lenzem - byłam zaproszona do Ełku, gdy sędziwy autor wrócił do miasta swego urodzenia w roku 2011, na kilka lat przed śmiercią, już na wózku, pierwszy raz od jego opuszczenia po wybuchu II. wojny światowej, i zarazem ostatni, by przyjąć godność honorowego obywatela tego miasta. Był tym powrotem prawdziwie wzruszony i cieszył się z serdecznego przyjęcia i dowodów życzliwości i szacunku, jakie mu okazywano.

Siegfried Lenz i jego wielka powieść to oczywiście niejedna moja translatorska fascynacja, nastąpiły po niej inne, wśród nich niezwykła, poruszająca opowieść Jenny Erpenbeck „Heimsuchung” – „Klucz do ogrodu”. W pewnym sensie pokrewna jest „Muzeum”, dzięki motywowi utraty ojczyzny/ Heimat – tym razem jej wcieleniem jest pewien utracony dom nad jeziorem niedaleko Berlina, znów – realnie istniejący, i znowu efektem nie jest dokument, lecz literatura rzadkiej urody, niezwykła pod każdym względem: treści, kompozycji, oryginalnego, niepowtarzalnego języka. Ten dom także mogłam zwiedzić, poznałam również autorkę, towarzysząc jej przez pewien czas w poszukiwaniu śladów dwóch jej bohaterek w warszawskim getcie i Treblince. To pisarka ze wszech miar oryginalna, i dobrze by było, gdyby i inne jej utwory mogły się ukazać po polsku.

To tylko dwie spośród przełożonych książek, które we mnie wzbudziły zachwyt, zauroczenie czy fascynację, ale przecież tłumaczymy nie tylko dla siebie, przeciwnie, mamy nadzieję, że te nasze zachwyty, emocje i wzruszenia będą także udziałem czytelników – taki jest sens naszej pracy.

Lenz i jego "Muzeum ziemi ojczystej" stało na początku tej drogi, która doprowadziła mnie po latach aż do Krakowa, gdzie stoję oto przed wami wzruszona, trochę stremowana, i szczęśliwa z nagrody. Jestem mu wdzięczna za ten piękny początek mojej pracy tłumacza. Dziękuję też wszystkim innym, którzy mnie w tej drodze wspierali - mojej przyjaciółce Marii Przybyłowskiej, dzięki której zostałam tłumaczką, nieodżałowanemu Karłowi Dedeciusowi i całemu dawnemu i obecnemu zespołowi Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, zasłużonej fundacji Roberta Boscha, wreszcie koleżankom i kolegom-tłumaczom, od których tyle się nauczyłam i nadal się uczę. Dziękuję bardzo.